

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 35. Poznań, dnia 27 Sierpnia 1870. Rok II

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Ciąg dalszy.)

Dnia jednego ksiądz proboszcz wyjechał w poobiedniéj godzinie do sąsiedniego, jak mówił, probostwa. Wyjazd ten, wiadomy od dni kilku, niezwykłą Zosię napełnił radością. Jak miłą bowiem była owa altanka w ogródku, jak pożądaną rozmowa z kochankiem, którego już od tygodnia widzieć nie było sposobu!... Zaraz więc w rannéj godzinie, w maleńkiem swéj izdebki okienku białą wywiesiła chusteczkę z trzema węzełkami u dołu na znak, że go czeka w altance, o trzeciéj godzinie z południa... Dziwném było pożegnanie proboszcza!.... W jakiemś smutném pogrążony zamyśleniu, jak gdyby na czas długi oddalał się z domu, ukochaną siostrzenicę ze drzeniem przycisnął do piersi, gorący na jéj czole złożył pocałunek, otarł łzę cisnącą się do oka i milcząc wyjechał z podwórza... Zosia nie zastanawiała się głębiéj nad niezwykłem usposobieniem stryjaszka i, z zupełnym spokojem umysłu, do cienistéj pobiegła altanki.... Staś, który w rannéj wycieczce spostrzegł znak umówiony w okienku, o oznaczonéj godzinie, przez polne zdążając drożyny, niespostrzeżony dostał się do ogródka...

„Co tobie?, zapytała go Zosia, widząc jakąś radość tajemniczą w smutnych zazwyczaj oczach kochanka.

„Jestem rozpromieniony, nieprawdaż?“ zawołał Staś z uniesieniem. „To wpływ złotego słońca nadziei!...

„Słońca?“ zapytała Zosia, z niedowierzaniem potrząsając główką. „Ileż to słońc już świeciło na naszém niebie, ileż się w błędne zmieniło ogniki, ileż to razy łudziliśmy się na próżno?...“

„Ale nabyte gorzko doświadczenie uchroni nas teraz od błędów... Posłuchaj mnie tylko Zosiuniu, a osądzisz czy znowu się łudzę.“

Zosia usiadła przy nim na ławeczce i bacznie śledziła wyraz jego twarzy.

„Otóż mówiłem ci niedawno“ zaczął Staś z zagadkowym uśmiechem, „o małżeństwie jakie dla mnie układa mój ojciec, o uroczystych odwiedzinach, jakieśmy w tym celu złożyli w domu pana Baltazara, o łaskawém z jego strony przyjęciu, o wyraźnych względach, jakiemi melancholiczna panna Felicja obdarzyć raczyła....

„I coż daléj?“ z niecierpliwiona przerwała mu Zosia.

Staś bawił się laseczką i złośliwie igrał z jéj niespokojnością.

„I jak daleko doszły tak szczęśliwe zaloty?“ gorzko zaśmiała się Zosia.

„Niestety, doszły do końca!“ odparł Staś z udaną boleścią.

„Dręczysz mnie!“ zawołała Zosia, gniewnie zaciskając usta.

„Ależ prawdę mówię!“ zawołał Staś tryumfująco „Cały ten stosunek skończony na zawsze!...“

„Zerwany!... W jakiż sposób,... dla czego?“

„Alboż ja wiem, dla czego!“ odparł Staś wzruszając ramionami. „Losy mojego życia od woli ojca zależą jedynie, od jego kaprysu, jeżeli powiedzieć tak wolno... Moja wola, moje skłonności na żadną nie zasługują uwagę.

„Przed tygodniem jeszcze gniewał się na mnie za niegrzeczną prawie w domu pana Baltazara małomówność, a wczoraj zapowiedział mi zimno, że do małżeństwa tego zmuszać mnie wcale nie myśli, co więcéj, że go sobie nie życzy. O przyczynę nie śmiałem zapytać.“

„Ależ nie trudno zgadnąć przyczynę!“ zawołała Zosia, klaszcząc z radości rękoma.

„Ojciec domyślił się wreszcie tajemnic twojego serca i do niemiłych związków nakłaniać cię niechce... Czyliż dla ojca może być ważniejsza przyczyna?... A tak mi go zawsze wystawiałeś nieczułym i zimnym!...“

Staś uśmiechnął się boleśnie.

„I ja gotów jestem uwierzyć w cudowną przemianę, gotów jestem siebie o błędne posądzić mniemanie!.... Dawniéj tak bacznie pilnował moich kroków, tak szorstkie względem méj skłonności czynił mi wyrzuty, tak mi zagrażał zniszczeniem naszych stosunków,... a dzisiaj zupełną obdarzył mnie wolnością, moje częste w stronę miasta wycieczki ironicznym zbywa uśmiechem, a wczoraj nawet zapytał mnie żartem, czy już jest naznaczony dzień ślubu... Zkąd taki przewrot zupełny w jego sercu, oto nielada dla mnie zagadka, którą rozwiązać boję się po części... Mógłbym przykrego doznać rozczarowania!“...

Zosia rozpromieniona radością jak ptaszek biegała po altanie.

„Ej, pocóż“ szczebiotała wesoło, „pocóż tajemnych domyślać się przyczyn?... Bóg nam zsyła to szczęście, nie pytajmy jakiemi sposoby. Nam tylko cieszyć się i dziękować mu trzeba!...

„Tak jest!“ zawołał Staś, całując białą jéj rączkę. „Szczęście nasze jest szlachetne i czyste, z czystego więc tylko wypłynąć mogło źródła... Już więc usunięta najgorsza przeszkoda!“ dodał, tryumfalnie wywijając laseczką. „Teraz drugą usunąć nam trzeba....“

„A!“ zawołała Zosia, „jakaż szkoda, że stryjek wyjechał niedawno... Bylibyśmy w téj chwili ze szczerém do niego pobiegli wyznaniem!...“

Staś spoglądał na nią z uśmiechem.

„Ty nie wierzysz?“ zawołała w uniesieniu. „Czuję się tak silną, tak pełną niezwykłéj odwagi, że dziś jeszcze wyznam mu wszystko... Ale, dodała figlarnie, „podług rady mojéj kochanéj Kachny małego użyję fortelu. Dziś wieczorem kiedy stryjek powróci do domu, będę smutną,. zamyśloną, usiądę gdzie sobie w kąciku i nastroję minkę żałosną... „Cóż tobie?“ zapyta mnie stryjek. „Nic“ odpowiem głosem płaczliwym. Stryjek mnie będzie badać, wypytywać, a ja milczeć będę jak kamień i tylko łzę czasem obetrę... Stryjek musi domyślić się prawdy i zapyta pewnie pół żartem. „Ej dziewczyno, może ci jaki młodzik zbałamucił serduszko!...“ A ja wtenczas rozpłaczę się głośno, rzucę się zaraz do kolan,... no, i koniec jak we wszystkich romansach!...“

Staś oczarowany niewinnym szczebiotem dziewczęcia, całował gorączkowo dłoń jéj maleńką i z rozkoszą w jéj niebieskie wpatrywał się oczy...

W téj chwili gęste liście powoju i wina, zewsząd osłaniające altankę, dziwnym poruszyły się szelestem i w progu stanął blady, surowy — ksiądz proboszcz. Skrzyżował ręce na piersiach i wzrok przeszywający wodził po zdumiałych twarzach rozkochanéj pary... Zosia, pod wpływem tego spojrzenia, utraciła całkiem przytomność, machinalnie usiadła na ławie i bladą twarz zakryła rękoma. Stanu jéj duszy, myśli, jakie natenczas krzyżowały się wirem w jéj główce, żadne pióro opisać niezdolne; był to stan zupełnego odrętwienia, stan bezmyślny, wśród chaosu myśli najdziwniejszych, wywołanych i tłumionych przestrachem... Staś, pod naciskiem tak przykrego położenia, rozpaczliwéj nabrał energii, odważnie spojrzał w oczy proboszcza i pewnym krokiem wyszedł ku niemu z altany.

„Ksiądz proboszcz mówić chcesz zemną?“ zapytał głosem spokojnym i pewnym. Proboszcz zwolna postępował przy nim i marmurowéj, przerażającéj twarzy na chwilę nie odwrócił od niego. Staś nie drgnął, nie przestraszył się wcale i równie hardo spoglądał w oczy proboszcza... Tak postępując doszli do środka ogrodu, daleko od nieszczęsnéj altany.

„Pan jesteś nikczemnym!...“ zawołał proboszcz nareszcie głosem dumnym i pełnym pogardy.

„Nikczemnym? odparł Staś spokojnie, tłumiąc gniew budzący się w sercu, „Dla tego, że kocham i jestem kochany?... Zamiary moje są czyste i szczere, a że otwarcie wystąpić nie miałem odwagi, Bóg widzi, nie moja w tém wina... Zamiast otuchy i zachęty widziałem niechęć wyraźną, słyszałem sąd niekorzystny, który na siebie żadném nie ściągnąłem przewinieniem. Brak śmiałości, oto błąd mój jedyny,... za resztę odpowiedzialnym jest ten tylko, kto mnie zmusił tajemnie szukać mego szczęścia... Od dzisiaj“ dodał z lekką ironją, „kiedy przypadek zapewne całą prawdę odkrył proboszczowi, będę otwartym i szczerym. Kocham pannę Zofią i starać się będę, aby w oczach księdza proboszcza okazać się godnym jéj ręki!...“

Proboszcz patrzał na niego surowo, Staś skłonił się poważnie i dumnym krokiem po raz pierwszy przez ogród i przez probostwo wyszedł wprost na ulice miasteczka...

Ksiądz proboszcz długą chwilę nieruchomy pozostał na miejscu, głowę pochylił ku ziemi i laską machinalnie obcinał róże okwitłe... Na bladéj jego twarzy walczył gniew, wstyd i rozczulenie, a w usposobieniu wielka nastąpiła zmiana... Odwaga i energja, z jaką Staś wystąpił względem niego, jego szlachetne i spokojne wzięcie, jego twarz piękna, dumna i przyjemna zarazem, prawda i donioslość jego słusznych w części zarzutów, niezmierną w duszy proboszcza spowodowały przemianę. Staś od razu w najlepszém pokazał mu się świetle w chwili, kiedy pod wpływem spotęgowanego uczucia rozdrażniony umysł silnym podlega wzruszeniom, kiedy odebrane wrażenia w niezatartych zatrzymuje barwach, — i dla tego od razu rozbroił i podbił proboszcza. Proboszcz, pomimo gniewu i żalu, dziwną ku niemu uczuł sympatją; mężka i hartowna dusza, obok przyjemnéj i ujmującéj postaci, przypadała całkiem do jego charakteru i to podobieństwo do siebie, jakie w Stasiu odkryć rozumiał, dziwnie ujęło proboszcza. W głębi serca żałować zaczął błędnego, jakie miał o nim dotąd, mniemania, wstydził się niesłusznych posądzeń i rozczulił się na myśl przykrości, jaką ukochanéj sprawił siostrzenicy... Ocknąwszy się z tak smutnéj zadumy, wolnym krokiem pospieszył do domu i po skrzypiących wschodach poszedł do pokoju Zosieńki. Zosi nie było w mię-

szkaniu. Proboszcz usiadł na krześle, przy stole i obejrzał się po panieńskiéj izdebce... Biało tynkowane jéj ściany, białe u okien firanki, białe łóżeczko dziewczyny, nad którém wisiał obraz Panny Częstochowskiéj, palmową gałązką i nieśmiertelnikami ubrany, przytem portrety zgasłych rodziców i woda święcona w muszelce, doniczki mirtu, róż i hiacyntów poustawiane w okienkach, woń kwiatów, szczebiot kanarka, złote promienie słońca w małém migocące zwierciadle, — wszystko to zlane w niewysłowioną porywającą harmonję, tworzyło cichą, skromną, ale potężną zarazem poezyę dziewiczego przybytku... Proboszcz uległ wpływom téj poezyi. Żelazna i szorstka jego duszy powłoka topniała zwolna, pod łagodném i miękkiem ciepłem tego uroku, téj niewinności tęsknéj choć uśmiechniętéj, która zdawała się być atmosferą, żywiołem téj prostéj izdebki. Ksiądz proboszcz uczuł w głębi duszy, że istota, która otoczeniu tak czystą, anielską nadawała barwę, mogła być tylko niewinną i jasną jak anioł!...

Na stole, obok książek treści nabożnéj, obok tęsknych dum Zaleskiego, leżał dzienniczek Zosieńki, spowiedź jéj uczuć i myśli, które ubrać w słowa, powierzyć chociaż martwym kartom papieru, konieczną czuła potrzebę. Proboszcz otworzył dzienniczek i zaczął czytać z uwagą... Był to świat nieznany dla niego, świat wyobraźni dziewiczéj, świat dziewiczego liryzmu, który w harmonijnéj kaskadzie, od namiętnego objawu uczucia spada do dziecinnéj rozmowy z kanarkiem, do bladych nad różą rozmyślań, od wesołych śmiechów radości, do łez tęsknoty i żalu. A tłem tych obrazów różnowzorych była zawsze miłość dla Stasia, ich ciepłem i światłem niejako liljowa niewinność dziewczyny... Proboszcz, po pierwszy raz w życiu wszedłszy w tę uroczą krainę, całą duszą w jéj tęczowe zapatrzył się barwy, zasłuchał się w jéj muzykę rzewną i cichą, oddychał jéj wonią różanną i duszę zbolałą, stwardniałą wśród walki i trudów poił, orzeźwiał balsamem poezyi.... Jak cudowną była Zosia w jego oczach, pani i bogini tego świata słowików, tęczy i kwiatów. On, bohater, zahartowany w zapasach z prawdą żywota, zgiął kolano przed jéj majestatem eteryczną olśnionym poezją i łzą gorącą, sercem wzruszoném do głębi żałował tylu przykrości, jakie jéj sprawił bezwiednie... Lekki krzyk przebudził go z zamyślenia. Na progu izdebki stała Zozia blada i drząca jak listek... Ksiądz proboszcz zerwał się z krzesła i pomimo tak wielkiego rozrzewnienia, pod wpływem szorstkiéj i nieugiętéj natury, raz jeszcze otrząść się starał z téj chwilowéj, jak mniemał słabości.... Był jéj stryjem, jéj opiekunem, był zwodzonym przez nią czas długi, jakże tu pokazać się tak słabym, tak uległym kaprysom niewieścim!...

„Gdzie byłaś?“ zapytał ostro.

„Na cmentarzu“ szepnęła Zosia.

„Zapewne opłakiwać swe grzechy!“ rzekł proboszcz łagodniejszym już głosem.

Zosia miasto odpowiedzi głośnym zaszlochała płaczem.

Był to cios nad siły proboszcza!... Po raz pierwszy widział łzy swéj Zosieńki, z jego winy płynące strumieniem i zadrżał z przestrachu i żalu. Miłość i boleść uderzyły całą siłą w to serce żelazne na pozór, a miękkie jak wosk dla bliźniego, przełamały ostatnią zaporę czczych względów i zewnętrznéj szorstkości i popłynęły łzą rozrzewnienia po zbladłéj twarzy proboszcza.

„Ależ ja nie wiedziałem, że ty go kochasz, dziewczyno!...“ zawołał proboszcz nareszcie głosem, w którego drzeniu boleść walczyła z miłością. „Nie płacz, nie płacz Zosiuniu... Dziś jeszcze napiszę do niego, niechaj przybywa co prędzéj!.. Przyjmę go z otwartemi rękoma... uścisnę, pokocham jak syna, tylko mi niepłacz Zosiuniu... Ja chcę, abyś była szczęśliwą!...“

I do drżącéj piersi z całą potęgą ojcowskiéj miłości płaczącą przycisnął dziewczynę.....

Tegoż dnia o szóstéj wieczorem, pan Walenty Matusiński, świąteczne wdziawszy ubranie, kazał zaprządz gniadosze do wózika i bez wiedzy szanownéj małżonki w stronę lasu wyjechał z miasteczka. Ten wypadek mocno zadziwił obywateli. Pan Walenty widocznie pojechał do brata i w tem właśnie był powód zdziwienia. Nie bywał on przecież tak często u niego, zaledwie w święta ważniejsze, zajrzeć raczył do skromnéj zagrody, od czasu procesu poróżnił się z bratem na dobre, — jakaż więc tak niespodzianych i ceremonialnych odwiedzin przyczyna?... Krok ten miał w wyobrażeniu obywateli jakieś ważne, „polityczne“ znaczenie, musiał z bieżącemi wypadkami w ścisłym stać związku i dla tego tak bardzo zajął mieszkańców miasteczka. —

Śmierć Żołkiewskiego.

(Dokończenie.)

Wkroczenie Polaków do Wołoszy, obudziło w pospólstwie radość powszechną i ośmieliło go do wyrznięcia małéj liczby Turków, przebywających w Jassach. Wypadek ten ostatecznie skompromitował sprawę Gracianiego w oczach Tureckich i dla tego przebiegły Grek, powątpiewając o pomyślności wyprawy polskiéj, sposobił się tak, by módz jak najłatwiéj w razie złych rezultatów, ucieczką ratować się do Niemiec.

Gdy wieść o tym zamiarze doszła Żołkiewskiego, wysłał on list do Hospodara w wyrazach upominających, a nawet groźbą zastraszających, jeżeliby, wraz z wojskiem, na usługi hetmańskie stawić się niechciał. Energiczne słowa starego Hetmana wpływ wywarły, bo w któtce t. j. dnia 7 września, na czele 600 koni do obozu polskiego przybył. —

Marsze, z przyczyny trudności wzbieraniu żywności i dla oszczędzenia żołnierza, szły wolno. Wesołość i duch dobry panował w obozie. Wszyscy ożywieni byli chęcią śpiesznego spotkania się z nieprzyjacielem, a czujny wódz ciągłemi przeglądami i rygorem utrzymywał porządek w szeregach. Nareszcie 12 września, gdy wojska trzecią milę od świtu kończyły, przeprawiwszy się przez Prut, stanęły o południu na Cecorze, w dawnych okopach Polskich, przez Zamojskiego przeciw Turkom i Tatarom usypanych. Wieść o zbliżaniu się wojska polskiego lotem błyskawicy doszła Iskender Paszę, na którą zebrał

natychmiast wszystkie rozrzucone oddziały i śmiało na spotkanie Polaków wyruszył. —

W obozie polskim nie wiedziano nic o obrotach nieprzyjaciela, tymczasem więc wzięto się pod dyrekcyą Szemberka dowódzcy armaty (jak dziś nazywają artyleryi) do naprawy nadpsutych okopów. Przez trzy dni robota szła leniwo, gdy w tem Hospodar wpada do namiotu hetmańskiego z oznajmieniem, że dalsze wysyłanie czat jest zbyteczne, bo nieprzyjaciel sam się w pobliżu ukazał. Kiedy Tatarzy ujęli rozrzuconych furażników polskich, wieść przez Hospodara przyniesiona, stała się pewnością. — Zginęło takiéj czeladzi dnia tego około 1000. — Nagły ten wypadek zmusił przyspieszyć roboty okopowe, a tymczasem przezorny Hetman ze swéj strony starał się wywiedzieć o liczbie nieprzyjaciela, która mu dotąd obcą była.

Wschód słońca dnia następnego, ukazał obozowi polskiemu chmury oblegających nieprzyjaciół, wynoszących według mniemania około 40,000.

Mnóstwo ochotnika wyruszyło natycmiast z obozu i ze wszech stron ochoczo harce zwodzić zaczęto. — Wkrótce Hetman w przeciągu kilku godzin, wyznaczywszy każdemu z Pułkowników i Rotmistrzów właściwe miejsce w szyku bojowym, wywiódł całe swe wojsko do walki.

Według taktyki dawniéjszéj, szły naprzód dwa tabory wozów, między któremi w tylnych przedziałach po 4 armaty, z boków zaś, wozy ze śmigownicami. Jazda postępowała na czele między taborami. — W okopach dowództwo i porządek ułożono. — Z razu tylko sami Turcy wsparci zewsząd napływającemi Wołochami, bój rozpoczęli, ale w krótce niezliczona ćma Tatarów zaległa całą przestrzeń. — Tymczasem tabór lewy w miejscu równą linię z jazdą utrzymać, wyszedłszy z obozu zatrzymał się. Chorągwie zatem, nie mając dosyć przestrzeni, zaczęły prawy tabór wypierać tak, że ten w miejsce czołem, stanął bokiem pod górą. — Tym sposobem całe prawe skrzydło nieprzyjacielowi odsłonięte zostało. Wnet to spostrzegli Tatarzy i całych sił do przełamania taboru używać zaczęli. Koniecpolski widział niebezpieczeństwo i dla tego rozkazał natychmiast cofać się taborowi, lecz dowodzcy niepotrafili zlecenia zręcznie wykonać. Równocześnie bój się rozpoczął i z czoła z Usarzami prawego skrzydła, gdzie pułki hetmańskie,



Kościół w Miłosławiu.

Około południa przyszło nawet chorągwiami do starcia, w którym z jednéj strony Polacy górę wziąwszy, tak silnie Tatarów naparli, że ci z otaczających pól i gór w rozsypce uchodzić musieli — lecz z drugiéj strony zebrawszy się w przemagającéj liczbie, aż pod same okopy Lisowczyków zapędzili. W téj chwili cofającym się Lisowczykom, przybył na pomoc waleczny Denhof, na czele rajtarów i dwóch rot kozackich i tak dosadnie wsparł pohańców, że aż za góry uchodzić musieli. Dostał się w tenczas w ręce zwycięzców pierwszy żywy Tatar, który przed śmiercią z ran otrzymanych zeznał, że siła nieprzyjaciół przeszło 100,000 wynosiła. Nikt jednak temu dać wiary niechciał. Cały oboz nieprzypuszczając téj liczby, a przytem ożywiony pomyślnym skutkiem dnia pierwszego, szykował się na dzień jutrzéjszy do walnéj sprawy, niestety mniéj szczęśliwéj! Nazajutrz rano t. j. dnia 19 Września, stosownie do planu, Hetman wielki Żołkiewski, wspólnie z hetmanem polnym Koniecpolskim, naznaczywszy każdemu z Pułkozagrzane osobiście głosem i przykładem Żółkiewskiego, cudów waleczności dokazywały. — Kiedy tak z czoła i prawego skrzydła walka wrzała, przebiegli Tatarzy usiłowali jeszcze i z tyłu tabor przełamać. Pomimo dzielnéj i długiéj obrony Kozaków, dokazali nareszcie swego. Chcieli im Usarze dać pomoc, ale nie mogąc przyjść do złożenia kopii z nieprzyjacielem, sami się cofać byli zmuszeui.

Koniecpolski po dwakroć przebiegał walczące w taborze chorągwie i dwóch pohańców własną ręką trupem położył. Denhof ze swemi rajtarami, pomimo ran odniesionych, do ostatka z placu nie ustąpił. Noc przerwała ten bój zacięty, dozwalając hetmanom cofnąć się do wałów i straty poniesioe obrachować. Okrom utraconych kilku dział, kilkunastu chorągwi, trochę skarbnych wozów i kolas, nie więcéj nad 350 zabitych było; kiedy przeciwnie według zeznań nieprzyjacioł, padło ich w dwóch dniach 3500 i kilka buńczuków zostało w rękach polskich. —

Dzień ten okazał obu hetmanom trudność położenia. Nazajutrz więc, dnia 20 września, złożyli radę, na któréj stanęło, że wojsko uszczuplone i pozbawione zapasów, nie może stawić czoła kilkanaście kroć silniejszemu nieprzyjacielowi. Stosownie do postanowień, wydano natychmiast rozkazy polecające gotowość do wyjścia taborem ku Dniestrowi. Graciani przeniknąwszy zamiary wodzów i niepokojąc się o swoją przyszłość, zaczął rozsiewać buntowniczego ducha w obozie, twierdząc, że nie za Dniestr, ale ku Bukowinie należało uchodzić. Namowy te skutek swój miały, bo w krótce usłyszano wołających: Pocóż za Dniestr? czy nielepiéj ku Bukowinie? Nakoniec wieczorem swawola ta w otwarty bunt się zmieniła, a tak wielki strach żołnierstwo ogarnął, że większa część rzuciła się bez komendy ku rzece. Tłumem pociągnięci poszli z nim niezwalczeni w boju rycerze, jak Chmielecki i Odrzywolski. Nakoniec Kalinowski starosta Kamieniecki, przeciwnik Hetmana, uchodzi zabierając z sobą $1\frac{1}{2}$ tysiąca jezdnych.

W tym ogólnym chaosie dopadają obaj Hetmani koni i lecą w tumult, chcąc jednych słowami, drugich groźbą do porządku przyprowadzić. Ale wszystko napróżno! Straszna to była chwila! Z rozdartem sercem okiem sędziwy Hetman i te tylko rzekł słowa „Ja tu stoję i woda ze mnie nie ciecze.“

Przez dni następnych ośm szykowano się do wyjścia taborem i ośm dni bawiono Turków umowami. — Nareszcie gdy już wszystko gotowe było, w sam dzień świętego Michała, obaj Hetman wywiedli z okopów całe wojsko zaledwie 5000 liczące. —

Jak tylko Tatarzy postrzegli ruch w obozie polskim, natychmiast z okropnym wrzaskiem obskoczyli go dokoła. Całą tę noc, krzyliwe ich harcowania utrudniały pochód taboru. Najtrudniéjszą jednak była przeprawa przez Prut, gdzie Żółkiewski z wojskiem dnia następnego stanął. Lecz i ta, dzięki posłuszeństwu wojska odbyła się szczęśliwie.

Nareszcie dnia 1 października, o samym świcie sam Kałgaj-Sułtan całą siłą na ustępującą garstkę uderzył. I tą razą zimna krew wojska, przy poświęceniu wodzów, ocaliła obóz, a nawet piechota nasza wypadłszy z taboru, dwa działa nieprzyjacielowi w pogoni ujęła. Po téj przeprawie widział Kałgaj-Sułtan, że do rozbicia taboru potrzebną jest większa siła i dla tego, chcąc na czasie skorzystać, wysłał do Żołkiewskiego poselstwo z wezwaniem o traktowanie. Zrozumiał stary Hetman cele Sułtana, lecz znużenie wojska zmusiło go do propozycyi przychylić się. Wschód słońca 2-go października nie obiecany pokój, lecz walkę Polakom zwiastował. Jakoż zaraz o świcie Sułtan uwięziwszy posła Drużbica, natarł na tabór i aż do poludnia go szturmował. I tą razą udało się dzicz tę odeprzeć, a po krótkim spoczynku, przed wieczorem jeszcze ruszono na całą noc w pochód.



Pałac w Miłosławiu.

wrócił stary Hetman do namiotu, znalazłszy go do szczętu zrabowanym. Koniecpolski zaś z częścią wiernych, poszedł strzedz okopów od nagłego napadu nieprzyjaciela.

Kiedy się to działo w obozie, równie smutna dla naszych scena odbywała się zewnątrz szańców. Uciekające z nich hufce rzucały się w pośród ciemności do Prutu. Jedni ginęli w jego nurtach, inni, już z drugiéj strony rzeki, pojmani byli przez Tatarów. Kalinowski przepływając Prut na głębinie utonął, a Hospodar przez własnych żołnierzy łakomych na skarby, zabitym został.

Tymczasem Żołkiewski wiedząc, że w pierzchającem wojsku panuje przekonanie jakoby ich wodzowie opuścili, kazał wynieść swój znak hetmański i otoczywszy latarniami, ukazać na całem stanowisku. Skoro go ujrzała pierzchliwa rzesza, wróciła natychmiast i otoczywszy Hetmana kołem, oświadczała się z wiernością i posłuszeństwem. Pomiędzy innemi był tam i książe Samuel Korecki, ów rycerz niezrównany w boju, a dziś w popłochu opuszczający sztandar hetmański! Gdy stanął przed hetmanem cały zmoczony i robił mu wyrzuty za popłoch w wojsku powstały, spojrzał nań spokojnem

Dzień 3 października był jeszcze dosyć szczęśliwy dla Żołkiewskiego. W tym dniu bowiem, udało się nietylko odeprzeć nieprzyjaciela, ale nawet zdobyto chorągiew i siła przedniéjszych wodzów trupem położono. Nareszcie po 3 milowym marszu stanęło wojsko nazajutrz nad brzegiem rzeki Reut. Dzień to był 4 października, dzień złowrogi dla Polaków, w którym omal co nie przyszło do ostatecznéj klęski. Nieprzyjaciel, nie mogąc pokonać garstki walecznych, palił wsie i osady, będące na drodze Polaków, chcąc ich głodem do poddania się zmusić. Spiekłe od gorąca pola otaczały Żołkiewskiego obóz. Zewsząd pożary osad i pól, zarażając gęstym dymem skwarne powietrze, dusiły oddech żołnierza. Brak wody udręczał go do reszty. Godzinę tylko dał wypocząć

nieprzyjaciel i zaraz ze wszech stron z całą siłą uderzył na obóz. Ale chciał jeszcze Bóg i tą razą ocalić, rzuconą na obczyznę garstkę Polaków.

Pdparto nieprzyjaciela, a puszczone za uciekającymi gęste strzały, trupem pole zasłały. Zmrok uspokoił harce, gdy tymczasem tabór w dalszy puścił się pochód.

Dzień i noc 5-go października wielką przyniosły stratę. Lud w ciągłym marszu odpierając chmury Tatarów tak się znużył, że mimo-woli przerwy w szykach otwierał, lub z osłabienia zostawał po drodze na łup Tatarów.

W tem położeniu niewiedział Żołkiewski innego ratunku, jak jeszcze dnia tego stanąć u Dniestru, gdzie w twierdzy Mohilewskiéj mógłby łatwo dać odpór nieprzyjacielowi. Od punktu, do którego wszystkie nadzieje były skierowane, zaledwie już tylko dwie mile dzieliło. Dla tego też wojsko zachęcone wskazywaniem bliskiego kresu wszystkich klęsk, pomimo znużenia szło daléj.

O godzinie 10-téj, a było to już 6 go października, znowu Turcy połączeni z Tatarami, napadli obóz, lecz nasi ze zwykłem sobie męztwem odparli natrętnych tak, że nadal zupełnie zaniechali prób podobnych.

Jak tylko żołnierz widział się swobodnym od nieprzyjaciela, jął się domagać wypoczynku. Jeszcze tym razem głos sędziwego wodza, zdołał poskromić zuchwałych. Wiedział on bowiem, że najmniejsza zwłoka w odwrocie, najpewniejszą zgubę gotuje. —

Kiedy tak siwy Hetman uspajał buntujących się, jakby dla wynagrodzenia trudów i pocieszenia wstrapieniu, odebrał na świtaniu dnia tego, właśnie przed bitwą list od małżonki, a przeczuciem klęski wiedziony, w ten sposób bezzwłocznie jéj odpowiedział: —

„Mościwa Jéjmość pani, a pani małżonka ma sercem ukochana i wieczyście miła! Tak było i tak będzie aby prawość i sława narodu naszego nie zaginęła. Pan Bóg wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojnach hartować i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia niekoniec i niekoniec łaski Pana Boga świętéj, która nas wszędy utrzymywała i tamę w bitwach stawiać rada była. Jakoż kiedyśmy się zabierać radzi do utarczki z poganem, tego świtania odebrałem pisanie waszéj miłości, mojéj sercem ukochanéj i wieczyście miłéj małżonki, toż pociechę słówek kilka, a kto wie, może być i ostatnie pożegnanie. Jam pewien, że Waszmość ukochana i miła małżonka, czytając to moje pisanie nie będzie żalić starca i sił mych, a chociażby i życia dla obrony Rzeczypospolitéj i chrześcian. Toż ta pociecha będzie sercu memu. Tu w obozie mym jakby jakowy rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło.. ...

....

Bóg czuwać będzie nad nami, a choćbym i poległ, toż ja stary i na usługi Rptéj. już nie zdolny, a pan Bóg wszechmogący da, że i syn nasz miecz po ojcu wziąwszy, na karkach pogan zaprawi i chociażby tak było jak rzekłem, pomści się krwie ojca swego. Na wypadek jako bądź załączam Waszéj Mości miłość dla dziatek, pamięć na me zwłoki, bo je styrałem na usłudze Rptéj. Co pan Bóg ze swéj łaski chce dać, niech się stanie, a wola Jego święta będzie nam miłościwa do ostatka życia naszego. Z tem mnie modlitwom i łasce Waszmości najukochańszéj Jéjmości polecam i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam. Jéjmości do zgonu kochający małżonek i Ojciec. Stanisław Żołkiewski. Dan pod Cecorą 6 października 1620 r. —"

Stało się tak niestety, jąk przypowiedział wielki wojownik. List ten był ostatniem pożegnaniem ojczystéj ziemi i rodziny, ostatnim pomnikiem myśli szlachetnego wodza. —

Po sprawie z nieprzyjacielem, o któréj wyżéj wspomnieliśmy, pochód szedł wolno. Ośmielone żołnierstwo znowu wszczęło nieporządki, coraz silniéj domagając się spoczynku. Widząc to starszyzna, grozić zaczęła karą, w obawie któréj, tem gwałtowniéi chałastra występowała Zmrok dnia tego jeszcze je zwiększył. Nieład i wrzawa powstała ogólna. Szarpano się wzajemnie i do gwałtu posuwano się otwarcie. Nakoniec o północy, kiedy ciemność z reszty wstydu wyzuła, dorwali się ciurowie do spychania z koni i zabijania starszyzny. Tymczasem jakiś zbieg z obozu doniósł to Kantemirowi, który nie omieszkał z rozsprzężenia korzystać. — Nawrócił więc i wieszając się na tyłach czyhał na ostateczną chwilę nieładu. —

W téj chwili srogiego zamięszania, gdy powaga wodzów zupełnie ustała, nie było już ratunku Znali to Hetmani, lecz nawet w tem obłąkaniu niechcieli odstępować powinności swojéj. — Żołkiewski, pragnąc dać dowód, że chce z żołnierstwem razem umierać, zsiadł z konia i przebił go szablą.

W tem usłyszono wielki tentent nadbiegających z tyłu koni. Był to oddział Lisowczyków party przez Tatarów. Wystraszona chałastra w przekonaniu, że Tatarzy dostali się już w środek obozu, rzuciła się w rozsypkę. W takim to rozprzężeniu wpadają Tatatrzy i krwią niesfornych, lecz walecznych, mszczą się krzywd im wyrządzonych!...

Hetman, ciężkim smutkiem pochylony szedł pieszo na przodzie taboru, wsparty z jednéj strony na ramieniu porucznika Złotopolskiego, a z drugiéj, na domowniku swym Kurowskim. Koniecpolski szedł przed nim. —

Z całego zastępu zaledwie 300 jezdzców im towarzyszyło, lecz i ci przy nawale bisurmańskiéj ratowali się z życiem. Zostało jeszcze kilkunastu. — Zaklinano Hetmana by chciał ratować się ucieczką na koniu, którego mu syn z taboru nadesłał, lecz sędziwy wódz do zwycięstw od młodości przyzwyczajony, „nie" rzekł nie wsiądę. Miło mi przy was umierać. Niechaj Pan Bóg nademną wyrok swój który uczynił, kończy!" Uszedłszy jeszcze kilkaset kroków zaczęto znowu nalegać, lecz tym razem już konia nie było. W tem Złotopolski zsadziwszy z konia towarzysza, gwałtem nań hetmana wsadził. Koń unosząc Żołkiewskiepo złączył się z ostatnią z walczących garstek naszych. W krwawym boju, jaki ten hufiec toczyć musiał, Turczyn zadał ranę Hetmanowi, lecz i sam od szabli jego padł trupem. W końcu drugi przypada, zadając cięcie w rękę, po którem cios śmiertelny nastąpił. —

Taki był koniec Hetmana i jego niesfornego lecz walecznego rycerstwa. Z całego zastępu zaledwie jeden Szemberk z przedniejszych rotmistrzów został. W ogóle uszło z téj pamiętnéj rosprawy ze 200 piechoty kwarcianéj i połowa Lisowczyków. Głowę hetmańską jako trofea zaniesiono na spisie Iskender-Paszy. —

Gdy wieść o klęsce téj do kraju dobiegła, cała Polska okryła się żołobą Nieszczęścia nie był jeszcze koniec, gdyż ćmy Tatarów, nieznajdując oporu rozbiegły się po całéj Rusi Czerwonéj, aż pod Lwów sięgając. Ale najboleśniejszym był widok, upadającéj pod ciężarem smutku, owéj nieugięte dotąd kobiety, Reginy z Herburtów Żołkiewskiéj. Syn w niewoli, a małżonek w grobie!

Wierna przekazaniu męża, wysłała niezwłocznie posłańców za Dniestr, dla wyszukania zwłok drogiego sobie małżonka, które na nieszczęście już w rękach muzułmańskich były. Koszta ich wydobycia według sprawozdań do 200,000 Złp: wynosiły, na co Rpta. wzgląd mając dozwoliła bić monetę w Żołkwi. W rok po klęsce, dla uwiecznienia pamięci bohatera, zacna matrona wraz z synem na miejscu śmierci Hetmana wystawiła mu pomnik. — W śród pustyni Besarabii ruiny jego do dziś jeszcze sterczą, świadcząc o wielkim wodzu i wielkiéj, lecz nieszczęśliwéj przeszłości naszéj. —

W. H.

Wspomnienie z podróży.

(Dokończenie).

VI.

Miejsce do którego mię Doktor wysłał, była to mała wioszczyna, prozaiczna i bez wygod nawet. Spotkawszy panią Małgorzatę zdziwiłem się, że Dokror śmiał mi ją przeznaczyć na stróża, tembardziéj po opiece tak troskliwéj i powabnéj, jaką była opieka pani Bronisławy. Co do krowy, skarzyć się nie mogłem, bo wiernie wykonała przyrzeczenie, dane przez właściciela. O ile pierwsze wrażenie nie było korzystne, o tyle wszystko nabrało powabnego wyrazu z przyjazdem pani Bronisławy. W czterdzieści ośm godzin po wyjeździe, przybyła dzielić ze mną samotne chwile. Ta któtka przerwa, dała mi możność ocenienia wszystkich powabów i zalet z nią złączonych. Godzinami przesiadując w cieniu altany ubranéj różami, rozmawialiśmy o tysiącznych przedmiotach, a ja ze swéj strony jeszcze, błogosławiłem co chwila Doktora, któremu to szczęście zawdzięczać należało. Bo czyż nie jemu byłem winien te kwiaty, ten cień, tę zieloność i te rozkoszne marzenia, któremi mię towarzystwo pani Bronisławy obdarzało? Ach! jakżeż ten doktor dobrze zrobił, mówiłem, wspierając się na ręku pięknéj towarzyszki, jakżeż on dobrze zrobił, że mi nie pozwolił pozostać na biednem poddaszu. W śród tych kwiatów, oddychając całą piersią i w twojem towarzystwie pani, życie i siły podwójnym krokiem do mnie biegą.

Pewnego dnia, kiedy po raz może dwudziesty powtarzałem mój zachwyt i szczęście, na co ona zwykle odpowiadała poważnym uśmiechem, tym razem zwróciła głowę i z westchnieniem głębokim rzekła:

— „Chcąc niechcąc muszę słuchać chorego, ale gdy panu siły powrócą, gdy już siostra nie będzie miała przyczyny pozostać przy panu.....

— „O! wtenczas" zawołałem „wtenczas siostra będzie moją panią, a pani moją żoną..."

Widziałem jak zadrżała... odwróciła się, a krew oblała policzki. Ośmielony symptomatem wzruszenia, silniéj powtarzałem moje prośby, na które przez czas długi nie odpowiadała. Nareszcie, zrobiwszy poruszenie gwałtowne, z dziwnym akcentem rzekła:

— „Jakto! pan chcesz żebym go kochała?... Ja? pana kochać...

Ten ostatni wykrzyknik z początku był mi niezrozumiały. Wprzód nim się zdobyłem na odpowiedź, ona zniknęła, zostawiając mię osłupiałego. — Pozostawszy w altanie rozmyślałem nad jéj odpowiedzią. Młody byłem... cóż więc dziwnego, że ją na swą korzyść wytłomaczyłem. Ona mię kocha, mówiłem do siebie, ale widocznie musi mieć jakąś ukrytą zaporę, stającą na przeszkodzie naszemu związkowi. Jeżeliby mię nie kochała, czyżby chciała narażając własną opinię, samotne chwile ze mną dzielić. — Opinia ta, a mianowicie u kobiety tak dumnéj i tak skromniéj jak ona, jest barjerą, przez którą tylko uczucie gwałtowne przejść może.

Tak więc wszystko tłomaczyłem na swoją korzyść, ale obok tego, w głębi duszy o jéj przywiązaniu przeświadczony nie byłem.

Kiedy te myśli po głowie krążyły, usłyszałem tuż zamną wyrazy:

— „Wstań mój biedny pacyencie; trzeba wrócić do pokoju. Rosa wieczorna zaszkodzić panu może. — Patrz pan, już gwiazdy wschodzić zaczynają.

Zadrżałem..... co było powodem tego wzruszenia, wytłomaczyć sobie nie umiem — to wiem tylko, że wyrazy te, z kądinnąd tak proste „wstań mój biedny pacyencie" obiły się w duszy, jak głos upiora, przywołującego swoją ofiarę...

Wróciwszy do pokoju, pierwsze wrażenie w krótce się zatarło. — Światło i chwilowy humor towarzyszki, inny kierunek myślom nadał.

Szczęśliwe to usposobienie trwało aż do dnia następnego. Po obiedzie, na czas upału, wyszliśmy jak zwykle do cienistéj altany. — Czułem się jakoś dnia tego słabszy niż dni poprzednich. Po krótkiéj rozmowie, sen skleił powieki. Usnąłem.... Jak długo spałem, powiedzieć tego nie umiem; to wiem tylko, że się nagle i z wielkim przestrachem przebudziłem; zdawało mi się bowiem, że nad głową moją okropną groźbę wymówiono.—

Pani Bronisława spostrzegła mój przestrach i, jakby dla złagodzenia wrażenia uśmiechnęła się łagodnie.

— „Pozwoliłam panu zasnąć sądząc, że sen będzie posilny"

— „Inaczéj się jednak stało"

— „Jakto? Czy czujesz się pan słabszym? Czy może sen jaki...

— „Sen okropny! prawdziwa zmora" odpowiedziałem patrząc jéj w oczy „Ale przy tobie pani łatwo o nim zapomnieć"

Ona wstała, podała mi rękę i skierowaliśmy się ku mieszkaniu. Szliśmy milcząc. W ogólności bardzo była małomówną i nigdy pierwsza rozmowy nie rozpoczynała, jakby w przeświadczeniu, że Bóg ją obdarzył niemą wymową. - Piękność i wdzięk połączyły się w niéj razem. — Milcząc była nawet jeszcze piękniéjszą. Z tem wszystkiem, ta małomówność nieraz mię irytowała. Nigdy nie wspomniała jednym wyrazem o swojem dzieciństwie, nigdy jednéj łzy nie poświęciła dziecku, którego śmierć tak ją boleśnie dotknęła, nigdy niezdradziła się niczem, coby mię objaśnić mogło o jéj pochodzeniu, stosunkach i przeszłości, — Mówiła czystą francuzczyzną, językiem poprawnym, chociaż niekiedy obrot zdania fałszywy naprowadzał na myśl, że nie jest francuzką.

Na okoliczność tę uwagi niezwracałem, a jeżeli czasem ciekawość podrażnioną była, to obawa okazania się niegrzecznym ciekawość tę zagłuszała.

Dnia tego postanowiłem zwalczyć nieśmiałość i uczucia moje pani Bronisławie z całą otwartością wypowiedzieć. W chwili stanowczéj zaambarasowanie było tak wielkie, że nie wiedziałem od czego zacząć. Rospocząłem od prośby o przyznanie mi prawa podziału boleści i smutku jaki w duszy nosi, ale zaledwie kilka wyrazów z ust wyszło, nie mogłem nic więcéj powiedzieć.

Ona, jakby dla wyrwania mię z przykréj pozycyi, przerwała i tonem spokojnym rzekła:

„Dobrze. Zaprowadzę pana na grób dziecka, ale jeszcze nie dzisiaj"

— „Kiedy więc?...

— „Wtenczas gdy panu siły wrócą"

— „A czy to prędko nastąpi?

— „O! mam nadzieję, że w krótce"

— „Ale powiedz pani, powiedz czy smutek który z nią podzielę, nie będzie wynagrodzony weselem, pociechą....

— „Zaręczam pana, że to nastąpi.... tam... na miejscu...

— „Pani łatwo zrozumie z jaką niecierpliwością téj chwili oczekiwać będę... Ale co to... pani zdaje się być bardzo wzruszoną....

— „Prawda. Czyś pan nie odgadł przyczyny tego wzruszenia?...

— „Jeżelibym miał prawo mierzyć uczucia pani, we dług uczuć własnych, tobym łatwo przyczynę odgadł.

—„Dlaczegożby nie?... Pan jesteś szlachetny, pełen uczuć, a tą miarą ja wszystkich i wszystko mierzę. Ale...

— „Dosyć pani!" przerywając jéj rzekłem „wolę pozostać w téj nadziei którą pani poprzednio uczyniła"

Ona nic na to nie odpowiedziała. Szliśmy zwolna ku domowi. Serce mi biło gwałtownie, a i na jéj twarzy wzruszenie widocznem było. Przez cały ten wieczor, ani z ust moich, ani z jéj, jeden wyraz nie wyszedł. —

VII.

Dzień mijał za dniem, czas biegł, zwolna czy szybko powiedzieć nie umiem, bo upojony szczęściem tylko w przyszłość myśl zwróconą miałem. — Siły wracały, a z niemi zbliżał się dzień, w którym o losie moim, wyrok usłyszeć miałem.

Był to wieczór jesienny, pochmurny i smutny. Znudzony samotnością, nie usposobiony do umysłowego zajęcia, poszedłem, tak jak zwykle, do pokoju towarzyszki. Otworzyłem drzwi zwolna. Siedziała przed kominkiem, z którego kiedy niekiedy dogorywające światło na nią padało. Zatopiona w myślach, nie widziała nic co się w około niéj dzieje. Nagle, spostrzegłszy mię zerwała się z krzesła i łzy rzęsiste twarz jéj oblały. Był to płacz nerwowy. — Starałem się uspokoić i zarazem błagałem o wyjaśnienie przyczyny tego wzruszenia. —

— „Ach panie!“ odpowiedziała w końcu „Jakżeż to okropnie czuć się tak słabą! Zostaw mię pan samą. Muszę sił trochę zebrać... Jutro na grobie dziecka mego, dowiesz się pan przyczyny“

Łatwo pojąć, jak noc ta długą i okropną wydała mi się. Nazajutrz — był to ranek jesienny, zimny i mglisty — pojechaliśmy na cmentarz, na którym biedna kobieta, zwłoki dziecka złożyła. Po raz pierwszy, na małym pomniku z kamienia wyczytałem nazwisko prawdziwe matki i dziecka. Było to nazwisko polskie, które nosi znana rodzina w tym kraju.

Podczas drogi milczeliśmy oboje. Dnia tego piękniejszą była niż zwykle; nigdy bowiem twarz jéj nie miała wyrazu równie łagodnego i spokojnego, a jednak nigdy nie czułem się więcéj od niéj oddalonym i więcéj nieśmiałym. Szedłem z tą rezygnacyą bezmyślną, z jaką ofiara idzie na miéjsce kary. Po za kaplicą, w samym końcą cmentarza usypana była mogiła z pomnikiem. Zatrzymaliśmy się. „To tu“ rzekła pani Bronisława. Spojrzałem. Darń nie zazieleniła się jeszcze. Zapewne i ona toż samo pomyślała, bo półgłosem wymówiła „Bez życia... martwa, jak dusza moja.“ Uklękła, zakryła twarz rękami i głowę oparła o mogiłę. — Czy się modliła? nie wiem.

W obec tak wielkiéj boleści czułem się złamany. Po chwili wstała i rzekła ze łzami w oczach „Czy widzisz pan?... Uczucie macierzyństwa praw swych się dopomina. Dziecko przegradza mię od pana. — Prawda, pan byłeś dobry dla niego; być może, że ono najpiękniejsze dnie życia swego panu było winne. Gdybym była żoną pańską... ale nie, czuję, że to nie podobne... Tutaj... na mogile dziecka, które skonało na ręku pańskim, cofam przekleństwo. Przebacz pan, w obec boleści okazałam się słabą. Rozpacz mi ją podyktowała. — Spostrzegłam zapóźno i dla tego ofiarowałam się strzedz pana na łożu śmiertelném...powrócić panu to życie, któreś mnie wydarł.

Po kilku chwilach pauzy znowu rzekła:

— „Wiem dobrze, że pan nieraz zaciekawiony był tajemniczością mego pochodzenia i zachowania się względem niego. Dziś będą otwartą. — Jestem polką, dzieckiem tego narodu, który aż tu u was gościnności szuka. Byłam kiedyś szczęśliwą... w śród miłości rodzinnéj i dostatku. Fatalny los ojczyzny zabrał mi wszystko, zabrał rodzinę, majątek i spokój, który niestety już nigdy nie wróci. — Jako jedyną pamiątkę uniosłam z przeszłości dziecię, w tym grobie dziś spoczywające. — Choć o kiju pielgrzymim droga z niem jeszcze, niewydała mi się zbyt uciążliwą. Jeżeli z żalem patrzę w przeszłość, jakże straszniejszą jest przyszłość. Dnie święta mego byłyby chyba dnie, w których mogłabym płakać na grobie dziecka, matki męża i braci. Ale i łzy nie zawsze są posłuszne. Oto masz pan w tych kilku słowach przeszłość i przyszłość.“

Oparty o drzewo, patrzyłem na nią, a łzy mi z oczu obficie spadały. — Deszcz drobny i ostry padał bezustannie, nie ruszyliśmy się jednak z miejsca przez czas długi. Nareszcie chcąc ją z tego stanu obudzić, bez myśli rzekłem: — „Deszcz pada, wracajmy.....

Siedliśmy do powozu. Przez czas drogi milczenie z obu stron na chwilę nie było przerwane. Było to wzajemne poszanowanie boleści. W domu, jak zwykle tak i tego wieczora otaczała mię staraniami i troskliwością. — Chwilami zdawało mi się, że to com słyszał było snem tylko. — Idąc na spoczynek rzekła:

— „Pragnęłabym, żebyś pan zapomniał o tém, co między nami zaszło. Czy ja zapomnę... przyszłość odpowie.

To powiedziawszy odeszła, a nazajutrz Małgorzata zawiadomiła mię, że o świcie pani Bronisława wyjechała.

ROZMAITOŚCI.

Kościoł i Pałac Miłosławski. (Z rycinami).

Miłosław, w powiecie Wrzesińskim, nad rzeką Szywrą położone miasteczko, jest gniazdem starożytnéj rodziny Wielkopolskiéj Miłosławskich, herbu Doliwa, ale z rąk téj familii wcześnie wyszło, albowiem już w XV i XVI wieku posiadali je Górscy, herbu Łodzia. Późniéj panami Miłosławia byli Grabscy, od kilkudziesięciu zaś lat jest własnością hrabiów Mielżyńskich. Kościoł parafialny założyli i uposażyli Miłosławscy około początku XV wieku. Za panowanie Zygmunta Augusta N. Górski Starosta Wschowski, dziedzic ówczesny, przyjąwszy wyznanie luterskie, około 1555 r. zaprowadził je także w miasteczku swojem i oddał kościoł współwiercom. Kościoł ten był z drzewa stawiany i jeszcze w r. 1610 zlożyli w nim luteranie swój synod. W krótce potem (1620) Łukasz Górski, kazał kościół ten rozebrać, w miejsce jego wystawił nowy murowany, a powróciwszy w r. 1627 na łono kościoła oddał go katolikom. — Poczem d. 2 stycznia następnego roku poświęcił go Maciéj Łubieński, ówczesny Biskup Poznański. Ten sam Łukasz Górski uposażył kościoł Miłosławski na nowo. Z pomników znajdował się tylko w nim nagrobek Doroty z Wedlów Roszkowskiéj, kasztelanowéj przemęckiéj, zmarłéj 1612 r. Przeniesiono go zapewne do nowego kościoła, wystawionego według planu i kosztem dzisiejszego dziedzica Hrabiego Seweryna Mielżyńskiego. Prócz Parafijalnego znajduje się jeszcze kościoł protestancki i synagoga, równie staraniem i według planu obecnego dziedzica. W 150 domach zamieszkuje 1585 głów ludności. Mieszkańcy zajmują się wyrobem sukna i garbarstwem. Miasto ma cztery jarmarki do roku.

Najważniejszem historycznem wspomnieniem z tem miejscem złączonem, jest wspomnienie bitwy stoczone w roku 1848 między wojskami Pruskiemi i powstańczemi. — Dotąd jeszcze na pałacu są ślady téj walki, której pomyślny rezultat obie strony sobie przypisują.

Ale pomimo starożytności i pamiątki historycznéj, Miłosław najwięcéj zawdzięcza swą popularność obecnym dziedzicom. — Komuż znanem nie jest nazwisko Hrabiego Seweryna Mielżyńskiego? Gdzie dobro kraju, lub prowincyi wymagało ofiary, tam zawsze imię Hrabiego Seweryna na pierwszem miejscu było. Po okropnych wypadkach 1863 r. pałac Miłosławski stał się przytułkiem dla rozbitków bez dachu i chleba. Nie jednostki, ani dziesiątki nawet tych nieszczęśliwych znalazły w szlachetnych sercach gospodarzy, gościnność, czułość, pomoc i troskliwość, nieledwie powiemy rodzicielską. Wśród potęgującego się z dniem każdym samolubstwa, postacye podobne u nas co raz rzadziéj spotykać się dają. — W nowem pokoleniu niewidać ich prawie, a te, które z przeszłości zostały, są jak dogorywające świeczniki wśród ogólnego pomroku. —

Pałac Miłosławski posiada jedną z najpiękniejszych galeryi obrazów w Polsce, a prócz tego znaczne zbiory książek i starożytności.

Szarada. *)

Pierwsza, trzecia, w liter rzędzie,
A zaś drugi tylko z kości;
Wszystka zaś specyałem będzie
Temu, który długo pości.

*) Szaradę numeru przeszłego odgadł pan Świstacki z Poznania.

(Rozwiązanie szarady w nr. 34: **Wydatek**,)

Korespondencya Redakcyi.

Pannie A. Ł. pod Bydgoszczą: Za pamięć serdecznie dziękujemy. — Bez nazwiska i adresu autora drukować nie możemy. Gdyby adres był nam wiadomy przesłalibyśmy kilka uwag co do prac nadesłanych. Panu Józefowi Narzymskiemu w Krakowie. — Oczekujemy dalszego ciągu. Pannie Antigonie w Poznaniu. Wierszyk śliczny. Upraszamy o częstsze odbieranie pisma naszego, jej utworami. — Nadesłany, w przyszłym numerze drukowany będzie. Dopominamy się o prawdziwe nazwisko autorki. Na dyskrecyą redakcyi może pani liczyć.